№ 43 Warszawa, dnia 12 (24) Października 1883 r. Rok XVIII.—Tom XIX.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

SŁOWACKI

(ze zbiorku: **„Dojmy a rozmary“**, J. Vrchlickiego)

przełożył z Czeskiego **Miriam.**

Szmer muszli, którą przyłożysz do ucha,
Pył, co skrzydełka motyla pokrywa,
Powieści Wschodu różnobarwna niwa,
Gdzie raj stracony znów pociąga ducha—

Twórcze gwiazd drżenie, wulkan co wybucha,
Skarga anioła na swe szczęście tkliwa,
Sen błogi, co się w perły łez rozpływa,
Pieśń dawna, której serce mile słucha:

Wszystko to w dźwiękach twojej lutni słyszę!
A ukołysan jej rzewną muzyką,
Radbym na wieki zamknął swe źrenice;

Lecz żar, co w tobie pod popiołem dysze,
Nagle ku niebu tryśnie strofą dziką,
I drżę znów, jakbyś skrę tchnął w popielnicę.

Wrażenia pedagoga w Galicyi.

XVII-te WALNE ZGROMADZENIE TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO W STRYJU.

(Dalszy ciąg).

Niepogodny dzień 17 Lipca nie przeszkodził komitetowi miejscowemu rozwinąć energicznej działalności, aby na przyjęcie pedagogów przysposobić wszystko jak należy, jak polska gościnność wymaga:—najczynniejszym był tutaj professor Kajetan Kosiński, który wspólnie z wice-prezesem Towarzystwa, drem Teofilem Gerstmanem, przybyłym ze Lwowa, miał czas przygotować wygodne, w drobiazgach nawet obmyślane pomieszczenie dla osób, z dalszych stron przybyłych. Tylko przez publiczne podziękowanie możemy wywdzięczyć się za ujmującą grzeczność obudwu, za szczególną gościnność p. Kosińskiego.

Przybyłych późnym pociągiem ze Lwowa powitano z muzyką i ostentacyą na dworcu kolejowym, poczem rozwieziono po kwaterach u mieszkańców Stryja, którzy swych gości wieczerzą podejmowali. Nazajutrz rano d. 18 Lipca odbyło się nabożeństwo, a proboszcz miejscowy przemówił do zgromadzonych w duchu słów Salomonowych:—„Staranie o umiejętność jest miłość, a miłość jest zachowanie praw jej, a zachowanie praw jest upewnienie nieskazitelności, a nieskazitelność czyni blizkim Boga“. Podniósł znaczenie wszelkiej pracy, wyróżniając pracę najwznioślejszą, wiodącą do nauk i umiejętności, jednającą zasługę wobec religii pracownikom, co nieumiejętnych oświecają, błądzących nauczają, wątpliwym dobrze radzą; co, darząc umysł młodzieży światłem, bogacąc umiejętnością, dźwigają kraj z nędzy materyalnej, ratują od upadku duchowego!

Pawilon teatru amatorskiego w Ogrodzie Miejskim, zwanym Olszynką, zamieniono na salę obrad; tam też burmistrz miejski Dr. Fruchtman, przemówił do zgromadzonych, witając ich imieniem miasta, zapewniając o sympatyi i czci, jaką ludność cała, bez różnicy stanu i wyznania, żywi dla wielkiej sprawy oświaty i dla jej dzielnych orędowników. Cześć takim nauczycielom, którzy zadanie swoje nie jako fach, ale jako pracę obywatelską pojmują; naród nasz, wychowanie i oświatę złączył z świetną tradycyą przeszłości, a dziś, oddając hołd godnym pracownikom na tem polu, daje o sobie chlubne świadectwo niespożytej siły i żywotności.

Przemówił następnie adwokat Dr Popiel, jako zastępca prezesa Rady Powiatowej, witając zgromadzenie imieniem całego powiatu.

Prezes Towarzystwa Sawczyński odpowiedział obudwu poprzednim mówcom, dziękując za serdeczne przyjęcie, kreśląc następnie w szerszem przemówieniu zadanie Towarzystwa Pedagogicznego, jego historyą i stosunek do narodu; zapewniał, że jedynem dążeniem towarzystwa jest wierne służenie sztandarowi, sumienne pełnienie obowiązków, niezrażanie się przeciwnościami; powoływał do współdziałania w wielkiej sprawie oświaty wszystkie władze, wszystkie stany, wszystkie czynniki społeczne. Dziecko—to mały świat, któremu wszyscy służyć powinni. Zwrócił się następnie do zgromadzenia i powitał je po raz 17-ty w roku 200 rocznicy odsieczy Wiednia, w mieście, które zawdzięcza swój wzrost i przywileje Janowi III.

Mówca starał się nawiązać dzisiejszą skromną pracę narodu do świetnych czynów przeszłości; wykazywał, że nie przechwalanie się dawnemi zasługami przodków, nie powiewanie strzępami świetnej niegdyś odzieży; ale skromna a wytrwała praca, ale prosta a schludna szata nam przystoi. W zakończeniu uczcił zasługę jubilata prof. Dubrawskiego, który w czasie swego pracowitego żywota, odznaczając się oszczędnością, mógł porobić obecnie zapisy na cele oświaty.

Odczytano następnie telegramy gratulacyjne, między któremi serdeczny telegram od Towarzystwa Pedagogicznego czeskiego, z którem Towarzystwo Galicyjskie zawiązało stosunki i wszystkie publikacye wzajemnie wymieniło. Hr. Izydor i Anastazya Dzieduszyccy nadesłali swoje dzieła, które rozdano uczestnikom zjazdu: *Patryotyzm w Polsce*, odczyty miane w sali radnej w Krakowie, p. Dzieduszyckiego (zeszyt II-gi i ostatni). *Listy nauczycielki*, p. Dzieduszycką (30 listów i

dopełnienie, zawierające spis książek, potrzebnych nauczycielce). Rozdano także odczyt p. Boberskiej (Wasilewskiej) *O Polkach*, zakupiony przez Ig. Żółtowskiego, a także broszurę, nadesłaną przez jednego pedagoga, literata z Warszawy, pod tytułem: *Jak uczyć początków języka?* Rozdano „Sprawozdanie“ z czynności instytucyi, “Statut Towarzystwa“ i inne drobniejsze publikacye.

Zabrał głos znany i poważany pedagog p. Br. Trzaskowski, zapraszając imieniem rady miejskiej na następny zjazd do Tarnowa; zgromadzenie uchwaliło zjazd przyszłoroczny w Tarnowie, połączony z wystawą robót ręcznych wszelkich kategoryi.

Od założenia Towarzystwa Pedagogicznego nauczyciele gimnazyalni nie wiedzieli, jaką mają przybrać rolę; wprawdzie część ich, zwłaszcza nauczycieli lwowskich, jest rdzeniem i sprężyną Towarzystwa, stanowiąc zarząd i dźwigając na swoich barkach sprawy instytucyi; natomiast inni, nie znajdując wydatnej roli dla siebie w Towarzystwie, należeli do niego jako figuranci lub, co najczęściej, wcale nie należeli. Kwestyą tę na kilku zjazdach poruszano, a szczególniej na ostatnim w Kołomyi. W ciągu bieżącego roku szkolnego powstało we Lwowie „Kółko nauczycieli szkół wyższych“, gromadząc odrazu przeszło 100 uczestników. Dla usankcyonowania tego drugiego piętra Towarzystwa, tudzież rozszerzenia go po prowincyi, potrzeba było uchwalić dodatek w statucie, z czem wystąpił professor Soleski. Projekt przeszedł, nim nauczyciele ludowi spostrzegli się i zrozumieli ideę separacyjną. Nie znamy dotyla stosunków galicyjskich, abyśmy stanowczo oświadczyć się mogli za lub przeciw temu; spostrzegamy jednak, że rzecz ta, jeśli nie osłabi dotychczasowych żywiołów instytucyi, to wprowadzi nowe, które, być może, zreformują, wzmocnią Towarzystwo i zakres jego działalności rozszerzą, ale zarazem odejmą mu dotychczasową cechę i znaczenie popularne, oziębią może te węzły solidarności, jakiemi ludność, nauczyciele ludowi i miłośnicy oświaty ludowej są połączeni. Dziś Towarzystwo Pedagogiczne Galicyjskie ma *społeczne* znaczenie; skoro rozpoczęta assocyacya nauczycieli gimnazyalnych wejdzie w życie, osłabną zarządy oddziałowe i kółka, podtrzymywane dotąd właśnie przez nauczycieli z wyższem wykształceniem, a Towarzystwo nabierze znaczenia *fachowego*. Gdy nauczyciele gimnazyalni zamkną się w swoim zakresie działania, nauczyciele ludowi nie podtrzymają sami Towarzystwa na takim stopniu rozwoju, jak obecnie; a właśnie tego najwięcej obawiać się potrzeba, albowiem już obecnie niektóre oddziały jak brodzki, gorlicki, rudziński, bełsko-rawski i inne, kwalifikują się do zwinięcia, jako niezbierające się na posiedzenia, jako niedające o sobie żadnej wiadomości, żadnego sprawozdania; cóż będzie po przeniesieniu się intelligentniejszych członków do osobnych kółek? Wtedy i najgorętsze przemówienie p. Chylińskiego, aby ospałe kółka restytuować, nie pomoże.

Sprawozdawcy niektórych galicyjskich dzienników pochwalają niezwykły spokój i porządek, w jakim się obrady odbyły; napozór rzecz to godna pochwały, wistocie zaś jest to dowód pewnego zniechęcenia i obojętności; mały był zjazd, nie wszyscy brali udział w obradach, z obecnych zaś nie wszyscy znowu mogli dostać się do głosu: „albowiem krótkość czasu była na zawadzie“! Obradowała więc mała tylko garstka właściwie, a w tej łatwiej było o zgodę i o utrzymanie porządku parlamentarnego. Mimo to wszystko i w tej przecież garstce większa część debatów świadczyła, że Towarzystwo jest w przededniu reformy; obracały się one bowiem około nowych kółek nauczycieli gimnazyalnych, około środków pobudzenia martwiejących oddziałów, a co najważniejsza około zreformowania dotychczasowych walnych zjazdów. Właśnie w tej kwestyi ostatniej przemawiał p. Maciołowski, delegat oddziału krakowskiego, motywując wniosek p. Żółtowskiego, przyjęty przez oddział krakowski, aby walne zjazdy, na których skutkiem natłoku i pośpiechu żadna kwestya poważniejsza rozstrzygnąć się nie da, odbywały się, nie corocznie, jak dotąd, ale co trzy lata. Sprawy formalne załatwiałyby się na zjazdach dorocznych delegatów oddziałowych, któreby nie narażały mieszkańców kraju na koszta podejmowania, co zaczyna już być uciążliwe. Sprawa ta zainteressowała bardzo zgromadzenie: wszyscy lepsi mówcy z Zarządu Towarzystwa: Baranowski, Benoni, Żuliński i inni, przemawiali za utrzymaniem *status qvo*. Poruszono tam i staropolską gościnność i zasadę ekonomiczną, że każdy grosz, na oświatę wydany, musi przynieść owoce i łacińską maxymę: *volenti non fit injuria*, a wszystko to celem zbicia mniemania, jakoby obecny zwyczaj podejmowania członków zjazdu przez miasta miał być uciążliwy. Podnosząc wreszcie *rekreacyjne* znaczenie dotychczasowych zjazdów dla nauczycieli ludowych, mówcy skłonili zgromadzenie do przejścia nad wnioskiem p. Żółtowskiego do porządku dziennego. Pora była już spóźniona, skutkiem niezwykle przedłużonych rozpraw; w zakończeniu posiedzenia nadano godność członków honorowych: pp. Sąsiedzkiemu (jubilatowi) inspektorowi okręgowemu, który kilkadziesiąt szkółek zreorganizował lub założył, rozwijał pszczelnictwo ludowe, a na trudnem stanowisku zjednał sobia miłość powszechną i przywiązanie; tudzież mistrzowi Matejce (z okoliczności nadchodzącego 25-letniego jubileuszu). Wśród grzmotu oklasków zgromadzenie jednogłośnie przyjęło wnioski, postawione przez p. Baranowskiego, poprzedzone świetnem przemówieniem.

Wiele kwestyi poruszono, wiele formalności załatwiono w dwóch dniach następnych obrad. Będziemy mogli opuścić niektóre, jako administracyjno-formalne lub miejscowe tylko mające znaczenie; pokrótce wspomnieć inne, jako nierozstrzygnięte lub projektowane dopiero. Różne wnioski delegatów oddziałowych były na posiedzeniu sekcyjnem rozebrane, uporządkowane, skombinowane, przez co je znacznie uproszczono; łatwo tedy bez straty czasu mogły być przez zgromadzenie ocenione lub zarządowi głównemu przekazane. Wniosek p. Dzieduszyckiego co do większej skrupulatności w mianowaniu członków honorowych Towarzystwa i wniosek pani Dzieduszyckiej, co do obniżenia opłat oddziałowych, przelewanych do kassy zarządu, nie wywołały żadnych nowych uchwał zgromadzenia. Dr Zgórski dawał sprawozdanie ze składek, jakie wpłynęły od członków Towarzystwa na pomnik Mickiewicza, wynosząc blizko 2.000 złr. P. Baranowski objaśnił, jak szeroki udział Towarzystwo weźmie w obchodzie dwuchsetnej rocznicy odsieczy Wiednia. Tenżesam referent wykazał, jakie postępy zrobiła, od tylu lat traktowana na zjazdach, sprawa examinów wstępnych do szkół średnich.

Na trzeciem posiedzeniu przekazano Zarządowi Głównemu różne wnioski poszczególne, aby z niemi do odpowiednich władz wystąpił; niektóre z nich dotyczą zakładania szkół przemysłowych, polepszenia bytu nauczycieli ludowych, szczególniej po miastach, zmniejszenia liczby lat służby nauczycielskiej z 40 na 30, sposobu przesyłania płacy nauczycielom, wydawnictwa obrazków poglądowych, budynków szkolnych, czasopism dla młodzieży, gimnastyki w szkole i prenumerowania czasopisma p. t.: *Przewodnik gimnastyczny*. Rozprawiano o wydawnictwach Towarzystwa, o wystawie robót ręcznych, o bursach dla synów nauczycielskich, o koloniach wakacyjnych. Zatwierdzono rachunki, uchwalono budżet, odbyto wybory, na mocy których dotychczasowy prezes Towarzystwa Sawczyński i wice-prezes Gerstman do dalszego sprawowania tych godności powołani zostali. Prezes Sawczyński pożegnał zebranych i zamknął zgromadzenie przydługiem przemówieniem, z którego wypadło kilka dobrze spóźnionych strzałów, wymierzonych przeciw głośnemu (ale przed dwoma laty) wystąpieniu Reya w Sejmie z krytyką nadmiernie rozszerzonego programmatu w szkole ludowej.

(Dokończenie nastąpi).

MARYA STÄFFE.

(Dalszy ciąg).

Na zegarze wieków wskazówka czasu wyznaczyła rok 1809. Ludy germańskie uczyniły jedno jeszcze wysilenie, aby wydostać się zpod gniotącej je stopy, którą zwycięzca na piersiach im postawił, ale ruch ten był daremny. Wagram stało się tem dla Austryi, czem Jena była dla Prus — krwawem polem przegranej; Niemcy więc na całym obszarze dzierżaw swoich zostały rozgromione a złoty orzeł Francyi wzbijał się tak wysoko, że duch w piersiach niemieckich upadł; wszystko i wszyscy ukorzyć się musieli, a kto chciał zostać nieschylonym, nieugiętym, musiał uchodzić z ojczyzny. Książę Fryderyk Wilhelm nie miał też innej drogi przed sobą; do rydwanu zwycięzcy wprządz się nie chciał, a więc nie było przed nim ani jednej stopy takiej ziemi niemieckiej, na której mógłby się utrzymać. Z pogromu wyprowadził dwutysięczny hufiec zaciężnego na swój żołd żołnierza, z którym po zawieszeniu broni pod Znaimem, cofnął się w głąb' Czech, ale obozować tu, średniowiecznym obyczajem kondotierów, ani-by chciał, ani mógł nawet. Coś rycersko wspaniałego nie dało mu jednak rozproszyć się tak przed oczyma zwycięzcy, zagasnąć, jak świeca nagle zdmuchnięta, zniknąć bezsławnie z widowni świata: i książę powziął myśl zuchwałą. Postanowił przedrzeć się z całą zbrojną drużyną swoją przez zastępy wroga, dostać się do ujścia Laby lub Wezery i ztamtąd dopiero puścić się na morze, odpłynąć do Anglii — nie jak rozbitek, który ucieka, nie jak nieszczęśliwy, który wobec nieprzyjaciela broń łamie i o pardon prosi, ale dumnie, hardo, z rozwiniętym sztandarem, unosząc z pogromu nieschylone czoło człowieka i honor wojownika. Ale plan ten, znany zaledwie kilku najzaufańszym jego officerom, musiał pozostać tajemnicą, niespodziewanemi obrotami drogę sobie otwierać i zadziwiając śmiałością, dążyć przed siebie, w nieprzerwanym, spoczynku nieznającym pochodzie; była to konieczność, poza którą to, co pozostało w historyi jako czyn bohaterski stałoby się rozpaczliwym rzutem szeleńca. Żołnierze, w których zawsze wstępuje duch ich wodza, pozostali mu wiernymi, szli za nim na oślep, a całe Niemcy z przerażeniem, dumą, radością i trwogą patrzyły na tę garść ludzi rzucającą się w wątłej łódce nieznanej nikomu nadziei, na morze niebezpieczeństw. Głos się rozszedł, że książę pragnie się dostać do Niemiec Północnych i wywołać powstanie, mając dawno uorganizowany tam związek tajemny, gdy on, nagle zawracając od Lipska, przez Hallę i Quendlinburg forsownym pochodem dążył ku rodzinnym swym stronom, gdzie wszystko drżało wzburzone, a gdy Halberstadt zostało wzięte szturmem, gdy cała westfalska załoga pod wodzą francuzkiego generała Meyronnet, którego książę wziął do niewoli, została rozbitą, a wszystkie jej zapasy zabrane, w Brunświku głuche dotychczas wrzenie—wybuchło! Cała ludność miasta żyła na ulicy, w biurach nie było urzędników, szkoły świętowały— biły serca, paliły się głowy...

W dniu 31 Lipca przyszła do miasta wieść, że pikiety księcia dosięgnęły już Wolfenbüttel, i lud tłumnie rzucił się za rogatki, a westfalscy członkowie rządu, policya, żandarmi westfalscy— wszystko to uciekło w popłochu, uchodząc głównie z duszą i unosząc zaledwie rzeczy najdroższe. Uciekano przez bramę Petrithor, gdy z drugiej strony miasta, u bramy Augusta, stały gromady ludu, czekające księcia. Opowiadano sobie, jak jest piękny, szlachetny, rycersko-dzielny; czekano, wyglądano od południa do nocy późnej; chwytano wieści, które coraz-to ktoś przynosił, bo tłumy ludności oczekującej dosięgały niemal Wolfenbüttel, lecz ledwo o 10-tej godzinie w nocy, okrzyki, które tam się podniosły, dały znać, że się doczekano nareszcie.

Książę zbliżał się do rodzinnego miasta powoli

i czynił to z umysłu. On wiedział, że nie przybywa, aby ten wierny mu naród przed przemocą obcych zasłonić, że nie przynosi im szczęścia i wybawienia, lecz będzie tylko tym meteorem, który ciemność nocy na sekundę jednę rozświeci, aby potem czarność cieni tem cięższą się wydała—wiedział to i nie chciał wejść tu jak zwycięzca w dzień jasny; nie chciał, aby entuzyazm patryotycznego uniesienia, które przejmowało ten lud biedny, miał oblicze na światło słoneczne odsłonione. Nie zapomniał o tem, że gdy on będzie już ztąd daleko, wrócą ci, co teraz przed nim uciekali strwożeni, i zechcą wziąć liczbę z tych objawów miłości, okazywanej jemu i sztandarowi, który nad nim powiewał. Dziesiąta biła na zegarze ratuszowym, gdy za usłyszeniem okrzyków, które podnosiły się coraz bliżej, w wyludnionem mieście zaczął powstawać ruch. Noc była ciepła i cicha, ale ciemna, bo nie księżycowa, i tylko źrenice gwiazd patrzyły z góry na ziemię, i to przez mglisty welon letnich oparów; miasto, szczególniej stare, było pogrążone w ciemności — dopiero na przeciągłe, powietrzem płynące hasło: „Lebe hoch!“ w głębi wązkich uliczek staromiejskich poczęły się migać światła, ukazywać pochodnie, z któremi cechy ciągnęły na plac zamkowy, rajcy miejscy stali też tu, z odkrytemi głowami, czekając niecierpliwie na ukazanie się pierwszej kompanii wojska, która poprzedzała księcia. Szedł przodem szum głuchy zmieszanych głosów; nareszcie plac starożytny wybuchnął jednym wielkim okrzykiem, ludzie poczęli się cisnąć do księcia, pod nogi jego konia, które całowano: płakano, wołano—i książę płakał...

Napoleon, posiadający tę wspaniałość ducha, którą musi mieć każdy wielki człowiek, tę wspaniałość ducha, która zostaje uderzona przez wszelką rzecz wzniosłą, choćby widzianą u wroga, podziwiał dumną energią Fryderyka Wilhelma, i słuchając sprawozdania, które mu zdawano o nim—zawołał: „Ah! c'est un vaillant guerrier“! — a przecież płakał on w tej chwili, jak dziecko.

Ponad placem pełnym ludzi, głosów, świateł, panowała ciemnością i martwotą głuchą wyniosła massa murów książęcego zamku. Budynek był stary, poważnie posępny, a tu ani w jednem oknie nie błyszczało światło, bo zamek był zupełnie — zupełnie pusty. Służby dworskiej króla Hieronima już tu nie było, a nowej nie było czasu mianować i tylko pod portykiem zamkowym między kilkoma płonącemi pochodniami stał stary strażnik gmachu jeszcze z czasów dawnych, przez Króla Westfalii na miejscu zostawiony. Gdy książę zatrzymał konia przed zamkiem, stary ten burgrabia wyszedł do niego z chlebem i solą; książę przyjął je w milczeniu i w milczeniu skierował się do zamku, ale sam jeden, nie dając świcie swojej rozkazu, aby zsiadła z konia. W jednem z pobocznych skrzydeł porobiono naprędce przygotowania na jego przyjęcie, ale on nie chciał się tam udać. Zamek był przez króla Hieronima przerobiony, odświeżony, wedle nowożytnego smaku umeblowany i Fryderyk Wilhelm prędko to omijał, dążąc do pokojów matki swojej, które pozostały, jak były. Królowa Westfalii była córką siostry księcia i na jej prośby uszanowano pokoje starej księżny, gdzie teraz dążył Fryderyk Wilhelm. Wszedł tam sam, z jedną świecą w ręku i pozostał przez godzinę zamknięty.

Milczenie głuche panowało przez ten cały czas na placu. Świta księcia czekała na koniach; wojsko przeciągało dalej w milczeniu i pytano się z podziwieniem pewnem: co będzie dalej?

Ale Fryderyk Wilhelm wyszedł naraz ze starożytnej bramy rodzinnego domu i dał rozkaz swemu sztabowi, aby się skierowano za wojskiem, które biwakować miało poza murami miasta, za bramą Petrithor, pod uchroną wałów zniesionej przez Francuzów twierdzy starej. Wtedy Michał Stäffe, który stał między radcami magistratu, przystąpił do księcia i prosił pokornie, aby przyjął nocleg w jego domu. Fryderyk Wilhelm uścisnął mu rękę ze wzruszeniem, ale odmówił, odpowiadając, że będzie spał, jak i reszta jego wojska, pod gołem niebem. Rozbito pod wałem namiot, rzucono kilka pęków słomy, i to był nocleg jego w stolicy dawnego państwa.

O wojsko swoje troszczył się tylko. Niech na ojczystej ziemi każdy z jego żołnierzy ma garść słomy pod głową i nie idzie spać głodny.

Dla siebie przyjął tylko jedno: śniadanie jutro rano, o którego przyjęcie Michał Stäffe prosił, jak o łaskę. Ułożył sobie, że przyprowadzi Maryą, aby je podała i miał już w myśli obraz tej chwili, gdy przelękniona dziewczyna, poznając nagle księcia, osunie się przed nim na kolana.

Dziś go widzieć nie mogła. Noc była za ciemna, aby w przejeździe dojrzeć zdołała rysy książęce go oblicza, a na placu zamkowym nie była dość blizko bramy, gdy z konia zsiadł, i jutro—jutro dopiero nastąpi to niespodziewanie!

Wierne serce poczciwego człowieka cieszyło się naiwnie przewidywaną uciechą tej chwili. Straż obywatelska, do której należał, zaciągnęła wartę w koło obozu, aby znużony żołnierz mógł spać spokojnie. W mieście przez noc całą nie gaszono ognia, ani światła. Pieczono dla wojska chleb, przygotowywano mięsiwo i w gospodzie u Petrithor działo się tosamo, a serce biednej Maryi biło wzruszone, bo czyż ów znajomy jej baron Popper, ów Jan Franciszek Conring, któremu śpiewała w taką też, jak obecnie, noc letnią, nie znajdował się przy boku księcia? Czy ona ujrzy go przecież, czy on przypomni sobie o niej, czy pomyśli, że znajduje się niedaleko?

Dzień 1-go Sierpnia wszedł na niebo pogodnie, ale powietrze niosło straszącą zapowiedź burzy: zwiady doniosły o świcie, że westfalski generał korpusu Reubell, puściwszy się boczną drogą przekątną, ciągnie pośpiesznym marszem na księcia, który musiał ustępować, aby nie przyjąć walki z siłą przewyższającą i w warunkach niedogodnych. Przytem Fryderyk Wilhelm chciał o szczędzić miasto, które w razie porwania się ludności, mogłoby być zrabowanem: należało zatem plac walki przenieść gdzieindziej, lecz wojsko musiało zjeść, książę musiał załatwić interes ważny. Objąć w posiadanie, choć fikcyjne, tron książęcy, którego następcą stawał się przez śmierć ojca—była to konieczność, wskutek której trzeba było księciu wydać manifest do Ludu Brunświckiego—napisać go, wydrukować i rozrzucić, zanim miasto opuści.

Tem zajęty, w namiocie swoim stał wśród grona officerów, z któremi rozmawiał żywo. W chwili, gdy Marya ze srebrną tacą w ręku stanęła u wejścia, on obrócony był tyłem, wyciągnięta ręka spoczywała na stosie papierów, mówił coś z ogniem, z zapałem gorącym, ale i z dumą wyniosłą, bo głowę trzymał podniesioną i Marya, nie widząc twarzy, poznała go natychmiast. Poznała go po wysokiej, silnej postaci, po ruchu szlachetnym, i zaćmiło jej się w oczach, ścisnęło ją coś w sercu.

To był on jej ukochany i to był książę!

Nie osunęła mu się do kolan, jak stryj przypuszczał, przepraszając, że nic niewiedząca, nie była wobec jego majestatu dość pokorną, ale byłaby, puszczając z rąk tacę, padła na ziemię przy nogach książęcych, gdyby nie adjutant księcia, baron Korf. Gdy Stäffe porwał jej z rąk tacę on podtrzymał upadającą, ale człowiek był już niemłody, surowy z natury, a chwila była smutnie poważną, więc nasrożył brwi.—Piękna panno, nie mdlej, proszę, bo nie mamy czasu na trzeźwienie cię!—zawołał ostro, sadzając ją na jedynem krześle, jakie się tu znajdowało, a książę, słysząc to, odwrócił się nagle. — Marya!—zawołał—Marya...

Zrobiło się milczenie między officerami i wszystkie oczy skierowały się na biedną dziewczynę, której naraz gorący strumień krwi napłynął do serca. I podniosła się też; blada jeszcze jak lilia, zdołała jednak utrzymać się na nogach. — Miłościwy książę... zaczęła białemi ustami przemowę, której nauczył ją Stäffe,—ale Fryderyk Wilhelm przerwał jej.—Daj pokój temu, Maryo—dobra, poświęcona przyjaciółko i zbawczyni moja! — zawołał.

Ujął obie jej ręce i uścisnął je w swoich.—Przyjaciółko, zbawczyni...—powtarzał, patrząc w zbladłe lice dziewczęcia z tkliwością, jakgdyby ojca, czy brata starszego i obracając się do ciekawie patrzących officerów, zaczął opowiadać żywo, że to ona, Marya Stäffe, jest tą szlachetną, dzielnego ducha dziewicą, która w roku zeszłym uratowała go od więzów francuzkich, a może nawet od francuzkiej kuli. I nie wiedziała wtedy zgoła, kto on jest; widziała w nim tylko obrońcę sprawy ojczystej i, ważąc się na niebezpieczeństwa najwyższe, ratowała go ofiarniczo.

Mówił z zapałem i wzruszeniem; jej łzy ciche, łzy pełne słodyczy smutnej, płynęły po licach, a stary baron Korf schylił się z uszanowaniem i pocałował jej rękę.

— Maryo!—zawołał naraz książę, zauważywszy na stole starożytny srebrny imbryk, dymiący na fajerce z węglami.—Maryo! nalej mi, proszę kawy! Niech raz jeszcze śniadam tak ponaszemu—raz jeszcze, ostatni...

Myślał o niedalekich już brzegach morza, o obcej ziemi wygnania, leżącej po za niemi i rozżalił się.—Raz jeszcze, Maryo—powtórzył—raz jeszcze!

Ona cichutka i posłuszna jak dziecina, spełniła jego rozkaz. Ach! czemuś ty mi powiedział wtedy, żeś nie jest wielmożny... wołało z gorzką skargą jej serce biedne. Czemuś, czemuś mi to powiedział?

Ręka jej drżała, lejąc płyn wonny w saską złoconą filiżankę i książę, który patrzył na nią, drgnął. Ta jej bladość, to wzruszenie i zalane łzami lice oświeciły go nagle. Ona go kochała, szlachetne serce dziewicze biło dla niego uczuciem innem jeszcze niż ofiarniczego patryotyzmu.

Co uczuł? nie mógł sam zdać sobie sprawy, bo w tej chwili u wejścia do namiotu zjawiła się postać nowa. Officer służbowy zameldował przybycie sztafety, a był to młody jakiś szlachcic z okolicy, który przypędził na spienionym koniu donosząc, że generał Reubell już stanął pod Ohoff. Książę był przygotowany na tę wiadomość; niemniej sprawiła ona swoje wrażenie. Wydał parę rozkazów znajdującym się obok officerom, napisany przed chwilą manifest kazał nieść do drukarni dawniej urzędowego dziennika, a potem zbliżył się do stołu, do Maryi.—Żegnam cię, dziecko szlachetne—rzekł—widzę, że stryj czeka na ciebie przed namiotem, idź więc z Bogiem...

Ale trudno mu było tak się z nią rozdzielić.

— Czy i teraz będziesz się modlić za mnie do Boga? — zapytał tkliwie.—O! módl się, módl... potrzeba mi tego—módl się!...

Podniosła oczy, które powiedziały mu:—Zawsze, do godziny życia ostatniej...

Ale wzmogła się nagle na siłę. Chciała, aby ją zrozumiał — czysta, szlachetna istota kobieca, zapragnęła w niej tego:—Będę się modlić codzień za Waszą Książęcą Mość—szepnęła.

Pojął, co chciała powiedzieć. Ozwał mu się w sercu żal, ale człowiek był uczciwy: to też ściskając ręce dziewczyny, rzekł z powagą łagodną:

— Dobrze, dziecko.... módl się codzień — za księcia!....

— Baronie — zawołał na Korfa — odprowadź p. Stäffe do stryja...

Młody szlachcic stał jeszcze u progu wyprężony, czekający, może na order jaki, któryby książę przypiął mu do piersi i Fryd. Wilhelm zwrócił się do niego. Że Stäffe trzymał się tuż obok namiotu, Korf nie potrzebował długo przewodniczyć Maryi i pożegnał ją wkrótce z podobną, jak poprzednio, oznaką uszanowania, a choć Stäffe nie był człowiekiem próżnym, jednak podniósł dumnie głowę, gdy ten surowy stary baron całował rękę jego synowicy wobec mnóstwa ludzi, stających frontem za ukazaniem się jego.

Przybycie sztafety i rozgłoszona wiadomość z czem przybywała, napełniła ruchem nietylko obóz: i poza jego linią znać było wzruszenie. Mówiono głośno, że książę musi się przygotować do bitwy, bo przeciwnik nie da mu ujść spokojnie. A co będzie wtedy?—pytano. Niepokój rósł, ale z drugiej strony miasto zaczęło wrzeć. Młodzież uczuwała wstyd; poczucie się do obrony sztandaru brunświckiego poczęło się budzić w sercach, a przytem było w mieście wielu ex-wojskowych, którzy nie mogli spokojnie patrzeć na to, co miało nastąpić. Jaki taki miał gdzieś w kącie broń i słowo wyszeptane to tu, to tam, podziałało jak iskra rzucona na minę prochową. Hufiec ochotników począł się formować, dawni officerowie objęli nad nim kommendę i w kilka godzin potem, stanęło 500 ludzi gotowych do połączenia się

z księciem. Trzystu zpomiędzy nich można było nazwać prawdziwem wojskiem, bo wszyscy służyli poprzednio w rozwiązanej Armii Brunświckiej. Hasło poszło i po okolicy; poprzybiegano też do miasta i ze wsi bliższych a 200 śmiałej i dzielnej młodzieży dostawiły cechy rzemieślnicze. Przybrano ich, jak na krotochwilę, w mundury westfalskie, których dostarczyły zapasy, zabrane przez księcia w magazynach Halberstadtu. I broń doskonała, jaką rozdano ochotnikom, pochodziła z tego źródła; oddział też, dobrze odziany, dobrze uzbrojony i w większej części wyćwiczony wojskowo, wytworzył wiele znaczącą siłę posiłkową, którą książę przyjął jednak z tem zapewnieniem, że gdy chwila niebezpieczeństwa minie, batalion ochotniczy rozwiąże się i każdy, kto będzie mógł, wróci do domu i do zajęcia dawnego.

(Dokończenie nastąpi)

POLKA I AMERYKANKA

POWIEŚĆ

przez

Sewera.

(Dalszy ciąg).

W dolinie droga ciągnęła się wązkim pasem, wśród zielonego błonia. Dziewczyna wstrzymała swego konia. Władysław poszedł za jej przykładem.

— Pozwolisz mi pani być szczerym?—zapytał.

— Proszę.

—W chwili gdyśmy się staczali, z góry, przeszła mi dziwna myśl przez głowę. Zdawało mi się, że pani nie kochasz swego ojca.

— Ależ, panie, ja znam mego konia, jego nogi i moję wprawę! Wyrzucasz mi pan egoizm, lecz musisz wysłuchać i obrony mojej.

—Jeżeli tylko duma pani na to pozwoli, abyś chciała się obronić.

— Mogę być ambitną, lecz dumną nie jestem, i to jest cechą mego charakteru. Wszelka akcya mnie roznamiętnia. Zapominam wtedy o sobie i swych obowiązkach. Konna jazda, polityka, zakłady, wyścigi—słowem: gra—opanowuje mną. Przeciwności są dla mnie tem większym bodźcem do walki. I dlatego byłam nawet niegrzeczną względem pana, zapomniałam o mym drogim ojcu. Gdybyś mnie pan teraz prosił, abym wróciła na górę i w szalonym galopie stoczyła się z niej, nie zrobiłabym tego. Przebacz.....

— To raczej ja powinienem prosić o przebaczenie za zuchwalstwo.

— Nie kończ pan. W dobrych stosunkach z ludźmi nie używam zdawkowej monety. Dla braku wprawy, nie mogłabym panu odpowiedzieć.

Zamilkła, wyraz jej twarzy spoważniał. Gładziła grzywę konia, uderzając zlekka ręką po jego pięknej szyi.

Młodzieniec przypatrywał się powabnej dziewczynie, z ciekawością, jakgdyby z linii składających się na rysunek jej twarzy, chciał odgadnąć tajemnicę jej myśli, lub tajemnice złożone na dnie jej serca. Imponowała mu dzielnością swą i swobodą — zaczynał uczuwać dla niej pewien szacunek połączony z sympatyą.

Wjechali na wzgórze.

— Oto jest nasza siedziba—rzekła, zmieniając ton z uroczystego na wesoły.

Ruch, jaki tutaj panował, wprowadził w zdumienie Władysława.

— Dziwi to pana?—spytała Władysława i, jakby chciała się tłómaczyć z liczby robotników, dodała:

— Nie jesteśmy bogaci, musimy się więc śpieszyć. Należy mnożyć kapitał, jeżeli się go ma mało, przez czas, ponieważ czas jest pieniądz. Ojciec chce zimę przepędzić we własnem gnieździe. Otóż i on.

W bluzie i słomianym kapeluszu szedł p. Ludwik na spotkanie córki i gościa.

— Ojcze, jeszcze jeden nasz sąsiad, i to najbliższy. Poznajcie się, panowie; wrócę, gdy się tylko przebiorę.

Chłopiec stajenny odebrał konie.

I gdy dziewczyna, trzymając w ręku amazonkę, zniknęła w zbitej z desek szopie, p. Ludwik odezwał się z uśmiechem do młodego człowieka:

— Dziwnem to pewnie wydaje się w Polsce, gdy panny przedstawiają młodych ludzi ojcom; jednak nie próbowałem nawet tego odradzać córce. Nie zrozumiałaby mnie. Zdobyta wolność przechodzi w tej chwili w krew naszę, staje się składową częścią naszego organizmu; podjęta walka przeciw niej oburza. Zgodzisz się pan pewno ze mną, że nie chcę gniewać na siebie swego dziecka.

— Znam obyczaje angielskie—wprawdzie tylko z książek—odparł Władysław.

— A więc się rozumiemy. Zrobiłem panu uwagę dla tego, że wielka jest zarozumiałość naszej polskiej młodzieży. Dosyć dla niej jednego uśmiechu, aby wierzyć, że są kochani. A cóż dopiero, gdy..

— Byłbym szczęśliwy, abyś mnie pan raczył policzyć do wyjątków.

— Jako ojciec, czułem się w obowiązku wytłómaczyć postępowanie mej córki—czego mi pan pewno za złe nie weźmiesz.

Władysław skłonił głowę.

— A teraz zostawiam panu wszelką swobodę; przyjeżdżaj, kiedy ci się podoba. Jutro lub pojutrze jestem z rewizytą.

Mówiąc to wprowadził młodego człowieka do środka budynku obitego deskami.

W salonie pełnym kwiatów przyjęła ich Amerykanka w jasnej sukience, z różą we włosach. Była jakaś inna, niepodobna do zlatującej w szalonym galopie ze stromej góry. Tylko biegły obserwator z silnie wykrojonych jej ust, z głębi, wyglądającej z niebieskich oczu, z lekkiego zagięcia między łukami brwi wązkich i długich, i prostego jej noska o rozwartych nozdrzach,—odgadywał charakter gwałtowny i wytrwały.

Późno wieczorem wracał młody człowiek. Nie przyświecał mu księżyc; gwiazdy jedna po drugiej gasły. Niebo poczerwieniało, dokoła ciemność zaległa. Nagle na południu przemknęła błyskawica, oświecając drzemiące olbrzymy gór i drogę, którą jechał.

Koń stąpał powoli: widocznie macał w ciemnościach; jeździec zostawił mu swobodę. Myśli jego rozlatywały się, jak stada strwożonych ptaków, i wracały tłumnie. Przeczuwał, że kobieta, którą poznał, wywrze wpływ na jego losy. Czuł pociąg do niej, lecz i pewien strach przed jej energią.

Mijał park żurawińskiego dworu; w oknach zobaczył światło; zdawało mu się, że wśród lipowych alei przesunęła się postać w białej sukience. Słyszał bicie własnego serca; konia zatrzymał; oddychał cicho, aby najmniejszym szelestem nie zdradzić się...

Biała postać przesunęła się tuż obok niego. Nie mógł dojrzeć jej rysów, lecz kształty jej na ciemnem tle nocy występowały wyraźnie. Patrzał na nią wytężonym wzrokiem, aż póki w mroku nocy nie rozpłynęła się.

Westchnął mimowoli i zwrócił konia na drogę.

Wspomnienia świeże, jakby z dnia wczorajszego, powabne i zarazem bolesne, pełne uśmiechu i przykre, opanowały go. Nie mógł się z nich otrząsnąć, nie mógł się wydobyć zpod ich władzy, a nawet uroku. Dwie kobiety o tak różnych charakterach, dwie kobiety z dwóch półkul ziemi, stały przed oczami jego duszy. Nie wyciągały do niego rąk, nie przyzywały go, lecz stały wciąż milczące, zamyślone, poważne. Jedna uosabiała siłę i jej przymioty — druga słabość i jej wdzięk.

— Jest jakaś tajemnica — zawołał.—Stanisława nie wie o oświadczeniu się porucznika o Jadwigę. Zarumienił się z oburzenia na myśl o możliwości tego faktu. Nie wspomniała o mnie ani jednem słowem. Czy z lekceważenia, czy zapomniała... Młody człowiek oddany był swym uczuciom—ambicyi i miłości własnej.

XII.

— Jadziu, posądzam cię, jeżeli nie o zazdrość to o tajemnicę serca, którą ukrywasz przedemną. A kto wie, czy nie o jedno i o drugie — mówiła wesoło Amerykanka wbiegając po schodach na werendę, aby się skłonić pani Balbinie, podać rękę panu Edwardowi i ucałować na przywitanie siostrę.

— Nic nie rozumiem —odpowiedziała Jadwiga. Mimo to zarumieniła się lekko i jednocześnie prawie zbladła. Pani Balbina zmrużyła oczy, oczekując dalszego ciągu.

— Rozwiązuj prędko, moja Stasiu, rzuconą zagadkę; patrz: Balcia się niecierpliwi — rzekł pan Edward.

— Dlaczegoś mi—zaczęła wesoło dziewczyna—nie wspomniała ani razu o najbliższym a zarazem i najprzyjemniejszym z sąsiadów, przystojnym młodzieńcu, artyście, dowcipnym, dobrym jeźdźcu, a jak przypuszczam i wykształconym?

— Czy to on z tobą wczoraj przegalopował drogą koło naszych okien? Lecieliści jak opętani.

— Dobrze siedzi i odważnie jeździ,—dodała Stasia.—Lecz odpowiedź należy mi się od Jadzi.

— Nie zgadało się — odparła Jadwiga udając obojętną.—Podobno go nie było.

— My robimy ustępstwa panom dzierżawcom, przyjmując ich u siebie. Ale żebyśmy zajmowali się nimi...

— Balciu, Balciu—pochwycił pan Edward.

— Robicie państwo łaskę dzierżawcom, przyjmując ich u siebie? A za to wam z samej logiki powinien robić zaszczyt porucznik swemi wizytami, jeżeli jest pięć razy bogatszy od was.

Pani Balbina blada z oburzenia powstała.

— Mylisz się pani — rzekła — tu jest stosunek równych z równymi.

— Balciu—zawołał pan Edward.

— Dzierżawcy do równości z wami potrzeba dziesięciu lub dwudziestu tysięcy dolarów, które może zdobyć, lub wygrać. U nas jest inaczej... Robotnik lub kopacz złota, choćby był milionerem, jeżeli jest nieokrzesany i brutal, nie wchodzi do naszego towarzystwa, na Fife Avenue w New-Yorku, które, być może nie jest liczne, zawsze jest—świeci jak słońce.

— Ależ Stasiu, unosisz się niepotrzebnie,—pochwycił pan Edward.

— Bo u nas w Ameryce owego dzierżawcę przyjmowanoby z otwartemi rękami we wszystkich salonach, gdy porucznik mimo swoich milionów mógłby się przechadzać wtedy po ulicach obok domów, w których są salony.

— A jednak, mówiła z uśmiechem wolno, lecz dobitnie Balcia — pierwsza pani oddałaś wizytę porucznikowi, zaszczycasz go swoją łaską, pozwalasz mu bywać w swym domu i pozwalasz mu się podobno kochać w sobie?

— Tego mu zabronić przecież nie mogę. Dobre wychowanie kazało mi przyjąć go. Lecz jeżeli przyjedzie drugi raz, zaręczam pani, że nie przyjedzie już raz trzeci.

—Może tylko przez zemstę nademną?—odparła Balcia.

— Zemstę?—raczej wdzięczność. W tym wypadku jednak nie gra żadne uczucie. Projekt był oddawna ułożony.

— A dzierżawca?

— Będę się starać, aby był częstym u nas gościem. I chociaż nie jestem muzykalną, sprowadzam fortepian.

— Winszuję — szepnęła pani Balbina z uśmiechem.

— Moja Balciu, byłaś jednak nie wyczerpaną w swych łaskach dla dzierżawcy. Wyobraź sobie, Stasiu, jest on najczęstszym naszym gościem.

— Lecz nie moim—odparła pani Balbina.

— Za to mój wielki faworyt a przyjaciel Jadzi.

Stanisława rzuciła badawcze spojrzenie na Jadwigę.

Balcia, dumna i szczęśliwa z przeprowadzonej intrygi, chociaż wcale nie intrygowała, wyszła.

Wybiegł za nią pan Edward, aby jej zwrócić uwagę.

— Porucznik wróci—rzekła tryumfująco, uprzedzając go,—więcej nic mnie nie obchodzi. I proszę cię nie dawaj mi nauk moralnych. — Przeszła żywo do swego pokoju zamykając drzwi.

Pan Edward przyznał, że manewr co do porucznika udał się Balci.

Dwie młode kobiety zostały same. Stasia ujęła pod ramię Jadwigę, prowadząc ją w cieniste aleje parku.

— Boję się, czy tobie lub twym rodzicom nie wyrządziłam krzywdy.

— O czem chcesz mówić? — spytała Jadwiga cicho, nie mogąc mówić głośno, ze zbytku wzruszenia.

— O poruczniku! Z tego, co mi napomknął wczoraj Władysław...

— Mówił—pochwyciła, a głos jej drżał.

— Sądząc z opinii twej matki, być może, iż miałaś projekt oddania mu swej ręki. I słuszny żal możesz mieć do mnie. Przepraszam cię najmocniej. Sąd mój o tym człowieku nie powinien cię gniewać, ty go pewno lepiej znasz. Ja w mem przekonaniu mogę cię żałować, lecz szczczęście jest względne i zależy od indywidualności. Mam jednak nadzieję, że nie będziesz zwracać uwagi na mój pessymistyczny krytycyzm i pójdziesz za popędem swych skłonności.—Uścisnęła ją serdecznie i pocałowała.

Jadwiga pod wrażeniem słów tak niespodziewanych, zamyślona, milczała. Widać było z rysów jej twarzy nasuniętych brwi i zaciśniętych ust, że walczy, usiłując się zdobyć na stanowczy krok.

— Nic mi nie odpowiesz?—gniewasz się? — pytała bojaźliwie Stanisława.

— Był ten projekt — rzekła — rodzice moi popierali go, porucznik bywał u nas.

— A ty?—pochwyciła Amerykanka.

— Walczyłam z sobą. Kraj nasz biedny, partya pod względem materyalnym świetna. Stanowisko, z którego możnaby dużo robić...

— A ja ci go mimowiednie odebrałam...

— I uratowałaś mnie! Możebym się nie umiała oprzeć naleganiom mamy, prośbom ojca i brata. Ten człowiek był dla mnie niesympatyczny, dziś jest wstrętnym. Stasiu, uratowałaś mnie—i jestem ci wdzięczną.—Uścisnęła ją za rękę.

— Uszczęśliwiasz mnie tem wyznaniem. Lecz twoja matka, ojciec, brat...

— Nie mogą mieć do nas żalu. Porucznik mnie porzucił; ty go odpychasz.

— Z rozkoszą. I to jutro, dziś, w tej chwili! A jeżeli ci idzie o to, aby życia nasze nie przeszły biernie w stosunku do ludzi i naszego biednego kraju—bądź spokojna. Mniejszemi środkami, przy wytrwałości, damy sobie radę. Nareszcie, czyby porucznik pozwolił ci rozporządzać się jego kapitałami, i to na sprawy których, on nie rozumie, których potrzeb nie uznaje?! Zawiódłby cię—zaręczam! A wtedy byłoby ci smutno i pusto.

— Ani matka twoja, ani ojciec, nie dzieliliby zawsze, nieustannie, dzień po dniu, towarzystwa z człowiekiem, tak poziomych instynktów—i gdyby ich ktoś zmusił do tego, czuliby się bardzo nieszczęśliwym i nie mają więc prawa narzucać dziecku związków wstrętnych dla nich samych.

— Porucznik — dodała — mógłby być zaledwo dżokejem do naszych koni. Trzeba się cenić. Ambicya dzielną trzyma straż, jeżeli czuwa nad naszemi krokami i w wielu razach broni nas wytrwale.

Objęła Jadwigę wpół i przytuliła się do niej.— Moja Jadziu, mnie-by cię było żal, bardzo żal. Przecież ty zasługujesz na inny los, niż na przepędzenie całego życia w towarzystwie człowieka, którego gruby śmiech, koncepta trywialne, zaprawione niemczyzną, drażnią cię. Ten jego poziom nizki, płaski... O czem on myśli, czego pragnie?

W głębi alei ukazał się pan Edward.

— Prawda,—szepnęła z mocą Jadwiga,—lecz przed moim ojcem ani słowa.

— Obawiasz się...

— Nie chcę go drażnić.

— Gdy tylko zobaczę Władysława, powiem mu, jakiego ma dzielnego obrońcę,—odezwał się, podstępując pan Edward.

— Bronię, kochany stryju, przedewszystkiem mych zasad. A jeżeli na drodze mej argumentacyi jako przykłady napotykam ludzi, muszę bronić ludzi. Jawności się nie obawiam i pierwsza gotowa jestem powtórzyć mu....

— Nie mów, zaklinam cię,—pochwyciła żywo Jadwiga.—Mogłabyś mu zrobić przykrość i stanowczo zrazić go do nas.

— A dobry to i sympatyczny chłopiec!—poparł córkę ojciec.—Balcia, pijąc wody, jest rozdrażniona, a wtedy lubi ludziom dawać do poznania, że jest arystokratką—od stóp, do paznokci.

Amerykanka po zachodzie słońca, nie widząc się z Balcią, odjechała. Pan Edward miał wielką ochotę wybadać córkę o rychłem zerwaniu Stanisławy z porucznikiem, lecz nie śmiał. Dziewczyna była zamyślona, zamknięta w sobie, milcząca. Bał się ją drażnić i siebie nie chciał zasmucać.

XIII.

Wykwintnym ekwipażem z przyciemnionemi wąsami, ostrzyżony przy samej skórze, pachnący, uśmiechnięty, pewien siebie, porucznik zajechał przed budynek zbity z desek.

Zdziwił się, że nikt na jego spotkanie nie wybiegł. Stanął w powozie, wyprostował się, obejrzał i zobaczył zdaleka pana Ludwika w towarzystwie cieśli, mierzącego łokciem belkę. Skrzywił się, lecz w tej chwili stanęły mu w myśli widziane na wiedeńskich scenach rozliczne wybryki *Goldener-onklów*.

— *Das ist famos*!—szepnął, oddając hołd wiedeńskim autorom.

W salonie nie zastał również nikogo. Wprawdzie Amerykanka widziała go z okna swego pokoju, lecz wyjść nie chciała. Przeczuwała starcie i mimo swej odwagi i pewności siebie. była rozdrażniona i onieśmielona. Skromność przypominała się o swe prawa i zwyciężała młodą dziewczynę. Szczęściem dla niej, w tej chwili zajechał Władysław. Odetchnęła, rumieńce wystąpiły jej na twarz, uśmiechnęła się.

Młody człowiek wszedł do budynku. W salonie zobaczył porucznika. Stojąc wyprostowany, uśmiechał się tym uśmiechem, graniczącym między szyderstwem a tryumfem.

Władysław skinął mu głową, porucznik odwzajemnił się tymsamym rodzajem ukłonu i, włożywszy ręce w kieszenie, zaczął przyglądać się kwiatom, nucąc jedną z bezmyślnych piosnek, zrodzonych na wiedeńskim bruku. Stanisława upinała różę do włosów i, chcąc zapanować nad sobą, nie wychodziła do swych gości. Młody człowiek spojrzał w okno, zobaczył pana Ludwika, pochwycił kapelusz i wybiegł.

Porucznik patrząc za nim, rozśmiał się grubo. Głos ten zelektryzował dziewczynę i oburzył ją. Odchyliła żywo kotarę. Nie śmiała się pytać o Władysława, lecz nieobecność jego zdziwiła ją.

— Pan sam śmiałeś się do siebie.

— Miałem towarzysza—odparł porucznik, lecz stchórzył i uciekł.

— Chciałeś go zamordować?

— No, nie, ale i do tego mogłoby przyjść, gdyby mi chciał przeszkadzać?

— W czem?—zapytała, marszcząc brwi.

Porucznik miał sposobność wypowiedzieć swoje uczucia, lecz widząc mars na czole dziewczyny, zawahał się.

— Gdyby mi chciał stanąć na drodze, dokończył.

— Bądź pan spokojny—przerwała, wasze drogi są tak różne, że się spotykać nie możecie.

Porucznik wziął to za rodzaj ośmielenia.

— Ja tak sądziłem—rzekł z pewną dumą i dziękuję pani, że mi to mówisz.

Dziewczyna popatrzała na niego ciekawie, i chcąc ukryć uśmiech, wydobywający się mimowoli na jej usta, spojrzała w okno.

— Pański towarzysz poszedł przywitać mego ojca, nie stchórzył więc.—Chodźmy tam.—

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Paryż-Ischia. — Reklama.—Hoff. — Ogłoszenie literackie.—Cisza. —Wystawy: Monachijska, Wiedeńska elektryczna, Hygieny w Berlinie.—Elektryczność.—Sobieskiana w Wiedniu i Krakowie, Albumy. Rzeźby. — „La voce della verità" o odsieczy. Numer jej poświęcony.—Sobieski i Niemcy.—Polemika. Wspomnienia Maxyma du Camp. — Flaubert, Gautier. G. de Nervab.

Paryż-Ischia — doszedł nakoniec i do nas—ale zawiódł oczekiwania i nadzieje. Mówią, że się go rozprzedała ilość bardzo znaczna, co dowodzi więcej miłosierdzia publicznego niż wartości zbiorku, nader skromnego — mówiąc grzecznie. Błyszczą tu wprawdzie imiona rozgłośne: Renana, Dumasa i t. p.; lecz garstka zebranych jałmużn tych pióra niewielka, a towarzyszące im rysunki—nieosobliwe. Razi wreszcie to, że na ostatnich kartkach, drogo zapewne opłacone, mieszczą się ogłoszenia przemysłowców i handlarzy, którzy nawet z nieszczęścia ludzkiego nie zaniedbują korzystać. Smutne to i śmieszne zarazem. Paryż co do reklamy nie ustępuje już Ameryce.

Mieliśmy sposobność przekonać się o tem w czasie ostatniej bytności.

W Niemczech sławny Hoff, fabrykant słodowych extraktów, był niegdyś pierwszym, który ogromne summy wydawał na nieustające anonsy, co mu nie przeszkodziło zbankrutować wkońcu i po likwidacyi znacznie ten zbytek w reklamach powściągnąć. U nas, szczególniej wydawcom i księgarzom raczej-by należało zalecać powiększenie ogłoszeń, niż wyrzucać w nich przesadę. Bardzo często dobra książka, któraby rozgłos mieć mogła i rezeszła się szczęśliwie dla autora i wydawcy, schodzi na makulaturę, bo o niej, w najściślejszem znaczeniu tego wyrazu, nikt nie wie. Śledząc dosyć pilnie cały ruch piśmiennictwa i wydawnictw naszych, samiśmy się o tem nieraz przekonać mogli.

Zbytek w tem niepotrzebny, ale oszczędność też nie w miejscu.

Są u nas jeszcze wydawcy, którzy zaledwie raz, i niebardzo właściwie, ogłosiwszy anons, na tem poprzestają, a dziwią się potem, iż książka się nie rozchodzi.

Lecz sprawa to, którą tylko mimochodem, potrącamy. Spokój i cisza nas otaczają. Z wyjątkiem katastrof, które w tym roku świat dotknęły, a o których wiele się pisze—nic tak bardzo żywo zajmującego nie mamy na porządku dziennym.

Nawet wystawy rozmaite, które od lat kilku powtarzały się aż do zbytku, w tym roku w niewielkiej ilości urządzono. Monachijska artystyczna i berlińska hygieny—są jedynemi zwracającemi uwagę. Pierwsza z nich, której illustrowany katalog mamy przed sobą — wypadła dosyć szczęśliwie; druga także, mówią, że cieszy się powodzeniem. Nadano jej ramy tak szerokie, iż objąć mogła daleko więcej, niż ściślejszy programmat wymagał.

Elektryczna expozycya wiedeńska, jak widziemy z illustracyi i sprawozdań, z wielkim przepychem inaugurowana, odpowiada znakomicie potrzebom chwili, bo elektryczność jest siłą, która właśnie najróżnorodniejsze znajduje zastosowania i umysły wszystkich zaprząta.

Niema wątpliwości, iż ta siła potężna w niedalekiej przyszłości zastąpi wiele innych, chociaż obchodzenie się z nią wymaga wielu ostrożności, bo równie jest dobroczynną, jak niszczącą. Padło już wiele ofiar pierwszych doświadczeń, czy pierwszego niedoświadczenia.

Druty telefonów tak dobrze przeprowadzają głos, jak piorunową iskrę elektryczną. Na małej kolei żelaznej w okolicy Berlina nieostrożne zbliżenie się do szyn przypłacili robotnicy życiem. Doświadczenie nauczy, jak się z tym niebezpie-

cznym pomocnikiem obchodzić należy, aby się nie stał wrogiem.

Z wystaw, które nas bliżej obchodzić mogą, wiedeńska i krakowska, pamiątek z r. 1683 i po Sobieskim, największe obudzają zajęcie. Krakowska szczególniej, której album byłoby bardzo pożądanem, ma być świetną, jak się z katalogu przekonywamy. Illustracyom naszym nadługo może ona dostarczyć materyału ikonograficznego do obrazu końca XVII wieku. *Album* p. Łoskiego i świeżo ogłoszony artystyczny zbiór kompozycyi artystów naszych w Krakowie—są dobrym początkiem. P. J. Migurski, przedsiębierczy fotograf w Odessie, zamierza także podobno wydać fotodruki Sobiescianów, lecz oddalenie utrudni mu wielce ich zebranie.

Do rzeźb wywołanych obchodem dwóchsetletniej rocznicy, Welońskiego, Gadomskiego, Brodzkiego dołączyć należy i Teod. Rygiera piękną kompozycyą, której przerys i sąd o niej bardzo pochlebny przyniosły włoskie dzienniki.

Wychodzący w Rzymie „La voce della verità“ numer swój 207 — wyjątkowy, poświęcił cały wspomnieniom roku 1863. Ozdobiony on jest wizerunkiem cesarza Leopolda, papieża Innocentego XI, Sobieskiego, Tekelego, Mahometa IV, Kara Mustafy, księcia Lotaryngii, Stahrenberga, ks. Marka d'Aviano i widokami, planami i autografami, między któremi znajduje się i najśliczniejszej Marysieńki.

Jest to bardzo miła i piękna pamiątka.

Z nowości francuzkich, o których u nas nie znajdujemy wzmianki, dwa tomy „Wspomnień literackich“, Maxyma Du Camp (członka Akademii francuzkiej) są jedną z nalepszych książek, jakie się w ostatnich czasach ukazały. (Maxime Du Camp. Souvenirs littéraires. Diis manibus et memoriae amicorum. Paryż. Hachette. 1882, 1883). Jeżeli się nie mylimy, wspomnienia te częściami naprzód drukowała „Revue des deux mondes“.

Maxym Du Camp, świeżo zaliczony do grona nieśmiertelnych, jest autorem znakomicie wystudyowanego obszernego dzieła: „Paryż jego organa, czynność i życie“. Sześć tomów poświęcił Du Camp temu pełnemu obrazowi stolicy. Oprócz tego zjednały mu wziętość żywe bardzo obrazy z czasów Kommuny (Les convulsions de Paris— cztery tomy), wspomnienia 1848, podróż do Egiptu i Nubii, artykuły historyczne i krytyczne.

Położone na tytule godło — pamięci przyjaciół, wybornie odpowiada treści dzieła, w którym Lud. de Cormenin i Gustaw Flaubert, autor „Pani Bovary“ stosunkowo więcej zajmują stronnic, niż sam Du Camp. Najściślejsza przyjaźń łączyła ich od młodości, i Flaubert nigdzie dziś tak żywo, tak wyraziście nie występuje, jak w tych pamiętnikach.

(Dokończenie nastąpi)

NOWINY PARYZKIE.

Paryż d. 6 Października 1883 r.

Wrażenia z podróży do Niederwaldu.—Obchód inauguracyi Pomnika Germanii.—Co jest w tej unii niemieckiej?— Posągi i napisy. — Powrót do Paryża. — Przyjęcie Króla Hiszpańskiego. Świśnienie niewczesne. — Czyja wina? — Obchód pogrzebowy Turgenjewa. — Śmierć i wspaniały pogrzeb w Antwerpii Henryka Conscience. Jego stanowisko w literaturze narodowej. Śmierć Siraudin'a. Dramaturg i cukiernik. Człowiek i literat, Tegoroczna wystawa Sztuk Pięknych w Paryżu.— Meissonier i Brożyk.—„Wyrok potępienia na Jana Husa.“ Obraz Brożyka.

Wracam zza Renu!

Przypadek zaprowadził mię na wielki obchód niemiecki: dzielę się z wami wrażeniami z podróży i z widowiska. Powiadam, że zaprowadził mię tam przypadek, bo nie chciałbym, abyście mogli posądzić starego waszego kronikarza, że przez pustą ciekawość biegł patrzeć na niemieckie sztuki.

Żona jednego z moich najserdeczniejszych przyjaciół, z powodów zdrowia, bawi w tym czasie w Wiesbadenie: otóż, odwiedzając ją, wpadłem na solenny obchód odkrycia sławnego pomnika Germanii na Niederwaldzie.

Wiecie zapewne—bo któż tego nie wie na świecie?—jak są uroczyście piękne wybrzeża Renu. Okolice Rüdesheimu, tak sławne ze swych winnic i z pierwszorzędnych gatunków reńskiego wina, są najpiękniejsze z najpiękniejszych! Zatrzymuję me pióro na tym przymiotniku podwójnym, który dostatecznie tłómaczy i mój, i powszechny entuzyazm ciągnących tą stroną bocianów!...

Kto nie był na miejscu w wigilią i w sam ten dzień solenny, w tej okolicy nad Renem, temu daremnie-by było opowiadać i opisywać—bo nie potrafi sobie wystawić nigdy tego zapału, z jakim, flegmatyczne z pozoru, Niemiaszki krzątali się około tego patryotycznego odsłonięcia posągu ich macierzy!...

Rüdesheim! Niederwald! Germania! — wylatują z ust każdego Niemca, jakby z rewolweru. Fotografie, rysunki, ryciny zapełniają wszystkie okna miast i wsi w okolicy; ścielą się pod nogami, lecą w powietrzu i płyną po wodzie! W Wiesbadenie co do słowa opływamy w tej reprodukcyi Germanii; poczta i telegraficzne stacye pełne są cisnących się ludzi; każdy z nich trzyma w ręku list albo depeszę, a na nich z wierzchu Germania. A co do pomieszkania, restauracyi i przewozu, jest to prawdziwe widowisko szalonych dni żydowskich; i gdybym tu nie przybył już od dni dziesięciu spałbym chyba u Niemca z psem lub kozą pod ławą. A stary Ren brodaty — od czasu może Mirowoda, nie widział tylu Niemców i w tylu łodziach, na swych mętnych wodach...

Nie od dziś to powstała ta myśl zjednoczonych Niemiec — jednolitej Germanii! Dawno, za czasów już Körnera, śpiewano o tem pieśni—ale zwycięztwa r. 1870 — 71 urzeczywistniły te pomysły nakoniec, i tym nadziejom nadały ciało i siłę. Zaraz po pierwszych wygranych dziennik jakiś podniósł myśl *Posągu Germanii* nad Renem — Wacht am Rhein! Utworzony wkrótce komitet wybrał rozumnie Niederwald za podstawę — i lepiej wybrać nie mógł... Tu, oparta o Niemcy, widzi przed sobą ta stara Walkyrya germańska cały swój Ren rodzimy! A co ważniejsza, ztąd, w dalekim tumanie prześwituje Francya, której mocno subtelny dymek, łechce przyjemnie w jej niemieckim nosie.

Na czele komitetu stanęli: hrabia Eulenburg, Beningsen, Fonck, Teodor Dilthey, poseł z Rüdesheimu—i wielu innych. Dwanaście lat potrzeba było do urzeczywistnienia tej myśli; ale stało się, jak chciano — stało się nawet lepiej i świetniej, niżeli marzono.

Na tej górze, na której i ja moję polską postawiłem nogę — zkąd się roztacza, żywa i historyczna panorama całej niemieckiej genezy; zkąd oko przeliczyć może, wszystkie a wszystkie ich zwycięztwa i klęski przeszłości, w boju z łacińską rasą—cały ten pochód germańskiej nawały — na tej górze, cesarz i jego towarzysze broni, przypomną światu, dzień—wielki dla nich,—smutny dla innych—kiedy się stała i spełniła unia niemiecka!

Spokojne i ciche kika dni temu Wiesbaden— jest dziś, jakby ogromne kotlisko niemieckiego wulkanu — gore illuminacyą i blaskiem. Cesarz Wilhelm nocuje tu przededniem inauguracyi i ztąd udaje się officialnie na miejsce obchodu, odległe o godzinę drogi. Czas jest zresztą potemu. Pogoda i słońce, są tu we współce z Niemcami...

Od pierwszego brzasku 28 Września, jakgdyby wszystkie zastawki i śluzy otwarto, drogami i ścieżkami, koleją żelazną i lichym wózkiem, konno i pieszo, ze wszystkich stron, płyną a płyną Niemcy. Cała flotylla reńskich parowych kompanii, okryta sztandarami, przeładowana ludem, z kilkudziesięciu złożona parowców, z dwóch stron, od Moguncyi i Kolonii, wypływa naraz, na spokojne wody starego Renu i tryumfalnie, przy odgłosie muzyki, przy śpiewie niezliczonych chórów, zawija do portu położonego tuż u spodu pomnika, i tysiącami wyrzuca na brzeg Niemców. Widok ten, muszę to przyznać, że choć niemiecki—ale wspaniały!...

Chłopi, kobiety, dzieci, panowie, mieszczaństwo, wojsko—cały świat germański — w świątecznym stroju, z uśmiechem i pieśnią na ustach, ciągnie do swojej Germanii! Ren zniknął w tym dniu pod ruchawą skorupą parowców, statków, czółen i czółenek... A ile tu wypito białego, miejscowego winka i piwa; ile zjedzono kiełbas, i wysmolono fajek! i najbieglejszy rachmistrz tego-by nie zliczył!

O trzy kwadranse na dwunastą cesarz Wilhelm przyjechał koleją żelazną z Wiesbadenu. Pociąg cesarski zatrzymał się na oznaczonym punkcie kolei, o kilka minut drogi od Rüdesheimu, zkąd powozami z całą świtą i dworem, cesarz udał się na miejsce obchodu, urządzone przed samym posągiem, na ostatnim ustępie góry. Piechota, w podwójnym uszykowana ordynku, wzdłuż nowo otwartej drogi, salutowała dziewięćdziesiąt powozów wiozących: królów, książąt, feldmarszałków, generałów i t. d.—na gody!...

Droga, świeżo i umyślnie na ten obchód przerznięta wzdłuż góry, stroma i rozmokła wśród deszczów, które tu padały ostatniemi czasy, zmusiła ten świetny orszak postępować powoli i krok za krokiem. To dało czas nagromadzonym Niemcom napatrzyć się na znakomitości rodzime. Nieustające „hura!“ witało każdego. Krzyczano najwięcej przy ukazaniu się Moltkego z synem, a w końcu samego cesarza—który jechał ostatni z następcą tronu, pomiędzy dwoma szwadronami kawaleryi.

Królowie i królowe, książęta i księżne, generałowie, dygnitarze, ministrowie, okryci złotem, oblepieni orderami —wszyscy tu są jak jeden— wszyscy oprócz cesarzowej i Bismarcka, którym zdrowie nie pozwoliło przyjąć udziału w tych festynach Germanii; Król Bawarski również „vacat“.

Cesarz z królami i książętami zasiada pod wspaniałym, otwartym trójkolorowym namiotem. Po prawej stronie namiotu, wojskowa starszyzna; po lewej, dygnitarze cywilni; w dwóch ogromnych trybunach damy — a wokoło oddziały z wszystkich wojsk pod bronią... W tej liczbie i Poznańczycy grają rolę Niemców.

Posąg kolosalny Germanii ma wysokości 27 metrów, licząc w to granitową podstawę. Architektoniczna struktura pomnika jest kształtna i doskonale harmonizuje z otaczającą miejscowością—co, jak wiadomo, rzecz niełatwa. Sam posąg przedstawia Germanią w postaci młodej kobiety, choć to stara wiedźma!—z włosami rzuconemi na wiatr, w długich poważnych szatach, udrapowanych z talentem. Lewe jej ramię oparte jest na ogromnym mieczu, a prawe podjęte, unosi cesarską koronę, uwieńczoną laurem, z poruszeniem tak łatwem, jakgdyby chciała powiedzieć: to mi niewiele waży!...

Ta olbrzymia i choć piękna postać, jakby straszne jakieś widziadło przeszłości, panuje nad całym obszarem sąsiednich gór, dolin i lasów, i patrzy spokojnie ku rodzinnej rzece, która się jeży w tej chwili tysiącami niemieckich sztandarów. Posąg nie jest, jak zwykle, w osłonie, bo jego ogrom utrudniłby niezmiernie w ostatniej chwili prędkie opuszczenie powłoki. Zakryte są tylko dwie płaskorzeźby, z których pierwsza, od frontu, przedstawia cesarza Wilhelma w pełnem otoczeniu tych wszystkich, którzy przyłożyli rękę do zjednoczenia Niemiec, a powiedzmy jak jest: do zwyciężenia Francyi. Są to portrety *ad vivum*, wogóle podobne bardzo — a ztąd idzie historyczna wartość tego pomnika zaboru!..

O dwunastej rudowłosy i rudobrody Schilling (z Drezna), nieodrodny typ germański i twórca narodowego dzieła, daje znak, i zasłony podstawy spadają nagle — przy odgłosie armatnich strzałów, poczem natychmiast prezes komitetu, hrabia Eulenburg, zawiera głos i, zwracając mowę do cesarza, szumnie i dumnie wysławia siłę i chwałę, wołając co cztery słowa: Vaterland! Vaterland!

Cesarz odpowiedział; ma się rozumieć, stojąc zdaleka, nie słyszałem co gadał, ale wiem tylko, że odpowiedział krótko — a słowa jego, dzięki dziennikom, doszły do wszystkich. Słowa te godzi się zapisać i zapamiętać. Nie powtarzam wszystkiego, znajdzie się to gdzieindziej, przypomnę tu jedynie początek i koniec.

Zaczął tak: „Kiedy Opatrzność chce objawić światu swą wolę, wybiera do wykonania wyroków swoich czas i naród, jaki się jej podoba“... a skończył: „Poświęcam ten pomnik pamięci zmar-

łych, chwale żyjących — a jako przykład potomnym. Amen“!

I my powiedzmy, Amen!.. Tak się skończyło, to wielkie, niemieckie święto—Amen!

A chociaż powiadano, że, miało to być jedynie poświęcenie niemieckiej unii; przecież to, co czytałem na podstawie Germani, opowiada rzecz inną.

Polewicy: Wissembourg, Wörth, Spichern, Courcelles, Mars-la-Tour, Gravelotte, Beaumont, Sédan.

Po prawicy: Strasbourg, Metz, Le Bourget, Amiens, Orléans, Le Mans, Saint-Quentin, Paryż... A wtyle:

Friede zu Frankfurt, 10 Mai 1871.

A my dodajmy z małym dzienniczkiem autografowanym z Metz: Vaterland! Vaterland! Amen.

Po skończonej mowie cesarza przytomni uściskali się serdecznie; armaty zagrzmiały powtórnie i ogromnym chórem wzniósł się w powietrze: „*Wacht am Rhein*“!—odśpiewany głosem całego ludu. Królowie i panowie rozjechali się, a cała massa publiczności, jakby ogromna powódź ludzka, zalała poświęcone wzgórze... Znowu potoki rüdesheimu, geisenheimu i piwa; znowu nieocenione kiełbaski wystąpiły na scenę... Radość, śpiewy, hulanka — trwały do nocy; ze zmrokiem Ren i wzgórza zapałały tysiącem ogni; posąg starej czarownicy, oblany elektrycznem światłem, ukazał się jakby obleczony w ognistą szatę germańskiej Welledy i zapanował nad brzegami rzeki.

Ledwiem tu wrócił z tego obchodu, który jest jakby medalem odbitym na cześć władzy i siły, a zaraz mi się przedstawiła jego odwrotna strona: wpadłem, jak to mówią, z deszczu pod rynnę, bo o pół godziny poprzedziłem na dworcu Kolei Żelaznej Północnej w Paryżu przybycie z Bruxelli Króla Hiszpańskiego.

Słyszeliście już zapewne o sławnem przyjęciu, jakie spotkało w Paryżu, młodego monarchę. Kto to był powodem i sprawcą tej szubrawskiej facecyi — szeroko o tem Św. Paweł pisał... Jednemu tylko dziwić się należy: że się znaleźli ludzie, którzy z jednej i drugiej strony ułożyli, aby odwiedziny Alfonsa XII były uroczystą i urzędową sprawą!..

Skoro prawo do demonstracyi i do świstania w klucze zostaje przynależne każdemu, najrozumniej jest, zdaje się, nie próbować nawet, do jakiego stopnia ludzie używający tego prawa, będą się niem posługiwać w danej chwili. W dzisiejszym stanie usposobienia Paryżanów w ogólności, a pewnej części klassy wyrobniczej w szczególności, można było łatwo przewidzieć, że król, jakiegokolwiekbądź narodu, wracający z Niemiec, gdzie był uprzejmie przyjęty, nie będzie wcale pożądanym tu gościem. Przewidzieć to, jak mówię, było tem łatwiej, że w ogólności dzienniki skrajne, a najbardziej organa anarchistów i intransygentów, zapowiadały oddawna to przyjęcie, wzywając swą klientelę do energicznej demonstracyi...

Stało się więc zadosyć temu żądaniu radykałów — a najwinniejsi w tem są ci, którzy dobrowolnie do tego podali powód. Król odjechał niby obojętny na tę zniewagę, wypadłą z dołu... Ale jakiekolwiek mogą być osobiste usposobienia samego króla, w tym względzie—Hiszpanie zmuszą go, jest to rzecz pewna, aby nie zapomniał o tem, że w jego osobie jest pewna część, i to *pars magna*, całego narodu... i w danej okoliczności wypłacą się Francuzom... W chwili, kiedy to piszę, powiadają, że ambasador hiszpański w Paryżu, wystąpił z notą, żądając officyalnego zadośćuczynienia za wyrządzoną królowi zniewagę... Tego tylko brakło [1]).

Właśnie tam, na Niederwaldzie, nad Renem, czułem w powietrzu słabe, dalekie, ale przecież niemylne skazówki *tych danych okoliczności;* była to więc demonstracya nieszczęsna i głupia, bo podjęta nie w porę. Nie budź licha, kiedy śpi!— mówi nasze stare, jak sam naród, przysłowie... Ale rzecz się stała... a więc probujmy utoczyć z innej beczki...

1) Sprawa obecnie już załagodzona.—Tak szybkie i pomyślne rozwiązanie zawdzięcza dyplomacya francuzka zmianie ministeryum w Madrycie. Rolę podżegacza odegrał „Figaro“. *(Przyp. Red.).*

W poniedziałek, byliśmy zaproszeni na godzinę 3-ą z południa, — na dworzec Północnej Drogi Żelaznej, gdzie liczne bardzo zgromadzenie przyjaciół oddawało ostatnią, bratnią posługę zwłokom Iwana Turgenjewa, zmarłego w Paryżu 3-go Września.

Ostatni ten obchód, chociaż na dworcu kolei żelaznej, był bardzo świetny, dzięki troskliwym staraniom licznych przyjaciół nieboszczyka, świetny nietylko pod względem urządzenia,—tymczasowej kaplicy, przystrojonej w kwiaty, bogate osłony i światło rzęsiste—ale i pod względem duchowej strony obrzędu, która się odbiła w kilku pięknych i tkliwych przemowach.

(Dokończenie nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Nowy Wiedeń.—Wystawa elektryczna i rozmaite inne.—*Sobieściana.*—Wystawa w Gratzu.—Ringstrasse.

Wiedeń, we Wrześniu 1883 r.

(Dokończenie).

Obrazy i rzeźby wystawiono w trzech salach w oświetleniu elektrycznem. Próba zrazu niebardzo pomyślnie wypadła; nie światło jednak jest tego powodem, ale sposoby użycia go. Te też ciągle nowe odbywają się próby. A ważna to rzecz; jeżeli obcowanie z dziełami sztuki jest rzeczą szlachetną i pożądaną, to należy dać tej ludności, która w dzień niema czasu, sposobność do oglądania ich wieczorem.

Okazało doświadczenie, że światło elektryczne ma niejako własności światła słonecznego: więc nakształt słońca użytem być musi. Wprost działać na oczy nie może, jak nie można patrzeć na słońce, tylko pośrednio. Więc wystawy obrazów potrzebują lamp z góry, i salon wymaga takich świeczników elektrycznych, żeby promienie lamp oczu nie kłuły, wzroku nie osłabiały, ale tylko barwy i kształty przedmiotów podnosiły. Tożsamo stosuje się do teatrów. Sala widzów powinna być jasną, ale lamp nowych nie powinno być widać i scena musi być oswieconą z góry, — zniknie migotliwe i niebezpieczne „światło kinkietów“. Dzisiaj, po tylu nieszczęściach a tylu wynalazkach, już nie można porządnego teatru wyobrazić sobie bez elektrycznego oświetlenia. Wygodne ono, bezpieczne, czyste, siłę jego można potęgować, można mu nadawać dowolną barwę.

Dzisiejsza *féerie*, balet z użyciem światła elektrycznego, staje się takiem czarodziejstwem, że niektórzy widzowie w teatrze wystawowym prawie w szał zachwytu wpadają. Przedstawiany bywa balet, który ochrzczono: Romans księcia Dynamo z księżniczką Elektrą“. W mgnieniu oka, tylko za pociągnięciem guzika przez maszynistę, zmieniają się barwy i siła światła, a temsamem i barwy wszystkich przedmiotów; co więcej, z równą łatwością przychodzi dokonywać tych przemian na niektórych częściach sceny, a inne pogrążać w ciemności i t. p. Co jest przytem najdziwniejsze, to to, że wszystko nas nie zadziwia, takeśmy już przyzwyczaili się do tego, że dla wynalazców, dla nauki nic nie jest niemożliwem; owszem, rzeczy najwidoczniejsze wydają się ogółowi czemś bardzo łatwem, prostem. I rzeczywiście, są to wszystko rzeczy najprostsze, tylko, że trzeba było tysięcy lat, zanim ludzie dobrali się do tych najprostszych praw i sił natury.

Urządzenie teatru wystawy chroni go od nie bezpieczeństwa. Wszelki ruch i zmiany dokonywają się zapomocą maszyn wodnych (hydraulicznych), które też i elektryczne światło wydobywają. Jest jednak i drugi teatr Hariland, który już nie demonstruje widowiskami na ziemi, tylko działaniem przyrządów bezpieczeństwa. Ten teatr daje jedno tylko widowisko: *Pożar na ziemi.* Wszedłszy, widzimy najpierw żelazną kurtynę, a na niej geniusz elektryczności. Za podniesieniem kurtyny scena przedstawia skromny salon. Na znak, że ogień wybuchnął, z suffitów spada gęsty deszcz i zalewa całą scenę. U góry otwiera się klapa, która ma wciągać duszące gazy; drzwi rozmaite „od wypadku“ poumieszczane, same się naoścież roztwierają, słychać rozmaite samodziałające sygnały alarmowe i wśród tego zapada sama z siebie kurtyna żelazna. Odbywa się to wszystko zapomocą elektrycznych apparatów, które żadnej obsługi nie potrzebują. Jeżeli ludzie zapomną pobudzić apparatu do działania, lub nie ma nikogo, on sam na ludzi woła, paląc sznurki wełniane, które do nich wiodą. Taksamo można wszystkie apparata puścić w ruch za jednem naciśnieniem guzika w biurze dyrekcyi, kommissarza bezpieczeństwa lub dyżurnego strażaka. Wiedeńczycyi nazwali ten teatr hydroterapią elektryczną. Na Heugasse wystawiony jest zawsze model teatru elektrycznego, który warto oglądać—bo kogoż to nie obchodzi! Sceniczne ułatwienia, jakie te teatra dają, są niezliczone. Cała scena się zapada, a inna gotowa z góry się spuszcza, mogą być i dwie nad sobą, niby dwa piętra; każdy też kwadrat podłogi scenicznej jest ruchomy, a wszystkie zmiany dzieją się cicho, bez służby, odrazu.

W Dreznie i w Peszcie stanęły już wielkie teatra, według tych wzorów; nowy teatr cesarski w Wiedniu również takie urządzenie otrzymuje. Nie ulega wątpliwości, że przykład ten musi być wszędzie naśladowanym: więc wszędzie będą nowe teatra budowane, albo stare z gruntu przerabiane. Cóż za widoki dla architektów, mechaników; ileż to setek milionów pójdzie na te roboty!

A znacie elektryczne *poziomki?* Można je, naprawdę, podziwiać, dotykać, kupować i jeść; pięć poziomek na muszelce szklanej, owinięte w zielony liść za 10 cen., sprzedaje na wystawie ogrodnik Bronold; pachną one, jak leśne. Powiada że i to rzecz bardzo prosta. Krzak poziomek zamraża się z ziemią, obumarły; potem się je odtaja i rosną tak prędko, że w 14 dni odbywa się kwitnienie i owoc dojrzewa. W dzień wystawia się je na słońce, w nocy na działanie światła elektrycznego, pod tymsamym kątem. Ze 150 krzaków zbiera p. Bronold co 6 dni 40 (!) poziomek. Pora roku nie ma więc żadnego znaczenia; jedno tylko musi być dane: krzaczek musi w lesie urosnąć, a w nim tkwią już cudowne zdolności. Siemens w willi swojej w Londynie urządził na wielką skalę stacyą doświadczalną elektrycznej *kultury.* Polega ona na prawie, przez Liebiga ostatecznie stwierdzonem, że rośliny pod wpływem słońca wciągają gaz węglowy, potrzebny do przerabiania go na części swojego organizmu—w nocy zaś proces ten ustaje. Zastępując w nocy słońce światłem elektrycznem powoduje się rośnięcie bez przerwy. Siemens ma u siebie maszynę parową, która wydobywa prąd elektryczny. Prąd ten w dzień porusza mu pompy i maszyny gospodarskie, wieczorem daje mu światło, a użyta już para ogrzewa mu mieszkanie. W cieplarni swojej ma u sufitu lampę o sile 1.400 świec, druga, takasama płonie na dole. Oświetlają one ogród ze zbożami i wszelkiemi jarzynami sianemi w Grudniu. W Styczniu dojrzewają poziomki, w Kwietniu maliny i winogrona, w Czerwcu brzoskwinie. Gdyby to rzymscy smakosze byli wiedzieli o tych sposobach! Prądy elektryczne ułatwiają też rozkład ziemi i karmienie roślin, tak, że i słabe krzaczki przychodzą do siebie. Myślą już o hodowaniu zupełnie nowych odmian drogą elektryczną.

Zajrzała już elektryczność i do kuchni; gotuje dla lepszego wglądnięcia, w garnkach szklanych. Przewodnik elektryczny oddaje ciepło wodzie i zagotowuje ją. Apparatom tym dostarcza elektryczności Gravier z Warszawy. Że węglami ani drzewem w kuchni palić nie będziemy, lecz albo gazem, albo elektrycznością, to nie ulega wątpliwości, niemniej jak w piecach. Maluczko,—a już oni nam to urządzą ci elektotechnicy, skoro się już i do tego wzięli.

Zajmujący jest spacer koło maszyn, koło motorów, dynamoelektrorów..., a nawet zwykły śmiertelnik nie potrzebuje objaśnień. Maszyny,—są to maszyny—i tyle; są to żywe smoki, eleganckie, polerowane, a zawsze najbezpieczniej zdaleka od nich. W dynamosach latają ciągle miliony zielonych iskier: oczywista, że z nich idzie elektryczność, co zresztą na każdej napisane. Trzeba jednak, bodaj tyle, wiedzieć, że elektryczność wy-

dobywaną jest, albo przez stosowne obroty pewnych ciał albo z bateryi; że działa albo wskutek i podczas roboty maszyn,—a wtedy światło zawsze pewnej niberacyi podlega — albo też płynie spokojnie ze zbiorników, o których już wspomniałem. Jest to dla wynalazców najtwardszy orzech. Żeby ze zbiornika mieć przez godzinę siłę jednego konia, to musi on ważyć 32 kilogramy. Zbiornik, któryby wóz tramwajowy mógł popędzać przez 10 godzin, musiałby ważyć 640 kilogramy, a, oczywista, metal się psuje, siła się ulatnia.... a koszt 1.280 guldenów. Ta kwestya nie jeden jeszcze mózg wysuszy, nim się doczeka praktycznego rozwiązania.

Tysiączne za to pokazują zastosowania elektryczności w sztuce lekarskiej. Najpierw światło elektryczne jest zdrowe, gdyż nie chłonie z powietrza tlenu, nie rozgrzewa powietrza; gaz daje 10% światła a 90% ciepła, światło zaś elektryczne 90% światła, a tylko 10% ciepła. Usunięte jest wszelkie niebezpieczeństwo explozyi: rozbija się lampa, światło gaśnie. Do wody elektrycznej, w wannie wystawionej, kładzie publiczność ręce i odskakuje, doznawszy ukłucia w całem ciele. Podobno już całe wnętrze ciała, a zwłaszcza żołądek, oświetlają, a przysłuchują się mikrofonami szmerowi, który sprawia obieg krwi. Narzędzi nowych dla fizyologii i terapii są setki.

Czem są już telegrafy,—trzeba wiedzieć, żeby uwierzyć. Francuzki pantelegraf przenosi pismo, rysunki, mapy; szlachcic, naprzykład, może na stacyi najbliższej podpisać się, a drut poniesie ten jego podpis na wexel podłożony na stacyi w Warszawie; cóż za wygoda! Albo radiofon, który przenosi głos, już nie drutem, ale zapomocą promienia światła; nakształt tego, naprzykład, jak piękne oczy wywołują nieraz bicie serca u niejednego osobnika. Azatem światło słyszy się.... Na nitce jedwabnej wisi mały apparacik; objaśniają, że jest to syfon-recorder; kładzie go się na dno morza; służy on do telegrafowania na odległość 20.000 mil angielskich.

Dla koni, prócz wierzchowych, nadchodzi też czas emancypacyi. Ziemię orzą parowe pługi, a zamiast tramwajów, omnibusów, kolei żelaznych, nastaną niebawem elektryczne—a raczej już nastają. We Francyi, w Berlinie, w Wiedniu już chodzą elektryczne wagony. Przewodnikiem siły są szyny; pokręci się korbką, połączy druty pod wagonem umieszczone z szynami i—jazda! pokręci się w drugą stronę i staje się. Jest to jazda idealna; niema gwizdań, niema hałasu, niema czadu, który brudzi, niema dymu, więc i migreny, niema explozyi, bo niema maszyn i kotłów. Wiedeń otrzyma niebawem całą sieć miejskich wagonów elektrycznych, podziemnych i nadziemnych. Rozwiązaną jest kwestya tunelów, bo niema dymu i oświetlenie jest fraszką. Niemniej idealna jazda jest łodzią elektryczną: płynie się cicho, gładko, spokojnie, jak ryba.

Nietylko siłę wody, ale siłę wiatru zamieniają już na elektryczność. Stoi koło rotundy motor wiatrowy; z którejbądź strony wiatr wieje—obraca go, motor obraca dynamosa, ten ładuje elektryczność w zbiornik, ze zbiornika idzie drut do młocarni czterokonnej i ta młóci. Obiecują, że niebawem na każdej kamienicy, na dachu, będzie stał taki skrzydlaty motor wietrzny i będzie lokatorom wytwarzał światło albo obracał, przez wytworzoną elektryczność, naprzykład, maszynę do szycia, tokarnią i t. p. Może to być, bo już wiatr nic nie kosztuje.

Do czego z pomocą elektrycznego światła dochodzą mikroskopy, także trzeba doświadczyć: skrzydło muchy zajmuje całą kurtynę teatru; można mieć powiększenie 10 milionów razy! Już się teraz żaden baccillus we krwi nie ukryje. Coraz też będzie trudniej o zasadzki na wojnie, gdyż na milowe odległości można rzucić światło i wygodnie okolicę przepatrzeć.

Lizbończyk guzikiem elektrycznym uśmierza ból zębów; Amerykanin nęci ryby światłem podwodnem; Anglik Whitehead, który wynalazł torpedy, nosi w kapeluszu maszynę parową o sile 2½ konia, która wytwarza elektryczność dla 25 lampek; Niderlandczyk jakiś produkuje pioruny, to jest iskry 22 cale długie; wreszcie opowiadają, że są nawet elektryczne osiołki, które nic nie rozumieją, choć codzień się gapią i na wszelkie wykłady chodzą. Więc dajmy już pokój tej niebezpiecznej wystawie i chodźmy na inną.

Ustaliło się już przekonanie, że tylko wystawy specyalne, z jednej gałęzi ludzkiej pracy, mają racyą, są pożyteczne, opłacają się dla wystawców, a są nawet dla ogólnej publiczności ponętne, jak to przykłady okazują. Na graficzną i farmaceutyczną wystawę chodziły tłumy.

Graficzna obejmuje sztychy, drzeworyty aż do wspaniałych najnowszych illustracyi. Wydawnictwo weneckie kościoła św. Marka, na olbrzymich arkuszach, przechodzi wszystko, co dotąd w tej mierze dokonano; jest to skarbnica nauki i wzorów dla architektów, a dla publiczności niemniej nauka przystępna i przyjemność. Trzeba tu było na tę wystawę sprowadzić Kraszewskiego i księcia Wład. Czartoryskiego: dopierożby się byli rozkoszowali w starych okazach! Szkoda, że do tej konkurrencyi nasze sztychy i drzeworyty nie stanęły. Nie należy żadnej takiej sposobności pomijać; dobrze zawsze i wszędzie swoję żywą pracę i postęp światła przedstawiać. Nasze illustracye, zwłaszcza Żupańskiego, byłyby też dopomogły wogóle i literaturze naszej do dobrej opinii u międzynarodowej publiczności.

Wystawa farmaceutyczna niezmiernie była zajmującą. Była to historya ludzkich obłędów, przesądów, czarów, które jeszcze w zeszłym wieku grasowały. Jakież to ciekawe lekarstwa: róg jeleni, rubiny, szmaragdy, perły; był też i pierścień Paracelsa. Cóż za różnica od dzisiejszych środków! Wszelkie *tajemne* i *uniwersalne* środki, były wykluczone; mimo to mogła i publiczność dowiedzieć się o pierwszych źródłach wszelkich toaletowych kosmetyków. Jedna skrzyneczka ubezpieczoną była na 45.000 marek.

Mięso w proszku jest już bardzo używane; chininie odebrano już zupełnie gorzki smak; są proszki burzące, zawierające 30% koniaku. Geograficznych nawet wiadomości nabiera się, widząc oryginalne paki kory, liści, drzewa, żywic z całego świata.

Że dzisiaj w miejsce wozów z kuchnią, spiżarnią i kucharzem, wozi się z sobą w podróży skrzyneczki z kompletną *łacińską kuchnią*: to zapewne wygoda, ale i świadectwo degeneracyi nerwowych pokoleń.

Osobne pociągi zawoziły publiczność do Gratzu. Cesarz objeżdżał Styryą i Krainę, te ziemie pierwotnie, a i dzisiaj w połowie, słowiańskie. Obchodzono tam jubileusz kilkowiekowej przynależności do domu austryackiego, a dla podniesienia go urządzono wystawę historyczną rozwoju kultury. Była ona obfitą, wspaniałą, nauczającą; arcybiskup polecił wszelkim kościołom i klasztorom przysłać, cotylko mają wartościowego. Okazy sięgają IX wieku, mianowicie dokumenta darowizn posiadłości dla klasztorów i t. p. Jest jednak osobny oddział przedhistoryczny wykopalisk, oraz zabytków rzymskich. Uderza, że od czasów Rzymian aż do IX wieku jest przerwa, próżnia; był to czas wędrówek i walk Słowian. Mnóstwo jest kościelnych sprzętów i ołtarzy, od XII wieku począwszy. Wymieniać nie podobna, specyaliści niech sobie sprowadzą katalog. Przepyszna jest z XIII wieku rzeźba ze słoniowej kości; przedstawia ona zamek miłości (Minneburg), rycerze zdobywają go, pną się po drabinach, a damy w zamku nie bronią się wcale, przyjmują ich z otwartemi rękami. Jest to uplastycznienie wieku Minnesingerów. Z XVI wieku jest największy na całym świecie puhar, 1 metr wysoki, ze złota wykuty, według rysunku Samnitzera z Norymbergi. Rotszyld dawał za niego 300.000 złr. Stoją całe tuziny puharów cechowych, a w stylu renesansu gotyckiego ustawiono wszelkie izby mieszkalne, jadanie, sypialnie i t. p. z wszelkiemi sprzętami. Malarz, historyk, powieściopisarz potrzebuje tylko zasiąść i odtwarzać to, co widzi: a utwór będzie ściśle historyczny i żywy.

Wreszcie należy wspomnieć o zbiorze ludowych ubiorów, pieśni ludowych, butów i mieczów sędziowskich, oraz narzędzi turturowych. Razem okazów 7,000 z jednej prowincyi.

Dla nas najbardziej zajmującą jest wystawa, urządzona na uczczenie jubileuszu odsieczy wiedeńskiej spełnionej przez Sobieskiego. Ciekawa to historya. W Wiedniu, gdzie ludność bardzo żywą zachowuje pamięć Sobieskiego, gdzie codzień spotyka się z pamiątkami i tradycyą odsieczy. Niepodobna było pominąć pamiątki ocalenia Austryi: więc urządzono poświęcenie nowego ratusza, a w nim wystawę historyczną z czasów oblężenia Wiednia. Stało się jednak zadość prawdzie, gdyż na wystawie tej pamiątki polskie bezwarunkowo pierwsze zajmują miejsce; a Matejko, który równocześnie *zadarmo* przepyszny swój obraz tutaj wystawił, zawstydził doreszty Liliputów i sprawił, że ludność cała wdzięcznie, życzliwie i głośno, Sobieskiego i Polaków sławi. Na wystawie samej są bardzo cenne zdobycze tureckie, portrety działaczy historycznych współczesnych, zbroje, dokumenta, a ponadwszystko imponuje zbroja Sobieskiego, buława, 15 jego portretów, obrazy wszystkich rodzajów ówczesnego wojska polskiego, oraz szczegółowo przez rządowy instytut geograficzno-wojskowy, połączony ze sztabem generalnym, opracowany plan i przebieg oblężenia, *ordre da bataille*, który zaczyna się od słów: Naczelny wódz Jan III Sobieski, Król Polski. Katalog tej wystawy, bardzo sumiennie ułożony, jest dla nas ważnem źródłem do dziejów epoki.

Światło elektryczne przyciągało setki tysięcy pragnących podziwiać *kamienny* nowy Wiedeń. Ludzie znali zwyczaje, obyczaje małomiejskie, aż do śmieszności, ale pozór miasta świetny. Już prawie wszelkie rusztowania z nowych gmachów opadły i dzisiaj Ringstrasse wiedeńska niema równej sobie na świecie. Dosyć tylko wyliczyć. Przybywając od strony Warszawy, widzi się pokolei wzdłuż tej ulicy okólnej, bez przerwy same dzieła monumentalne, albo wogóle wspaniałe, używające miasto: wielka panorama, łaźnie rzymskie, muzeum sztuki i przemysłu, park miejski, Kurhaus, gmach i ogrody towarzystwa ogrodowego, pomniki Schwarzenberga, Schuberta, Beethovena, Hôtel Imperial, Grand Hôtel, Volksgarten z Tezeuszem i Placem Bohaterów, dwa muzea dworskie, Nowy Parlament (styl grecki), Pałac Sprawiedliwości z jej świątynią, Nowy teatr dworski, Ratusz, a obok weneckie arkadowe gmachy i kawiarnie elektryczne, Kościół Wotywny, Park nad kanałem dunajowym, Hôtel Métropole, Plac i pomnik Schillera, Gmach szkoły sztuk pięknych, Gmach Towarzystwa Sztuk Pięknych i drugi Towarzystwa Muzycznego, a wśród tego bulwary, które za parę lat będą cieniste, a teraz są jeszcze przewiewne i otwierają nieskończone perspektywy. Mogłaby to być stolica, gdyby jej dano innych ludzi.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz -5ty powieści pod tyt.: **Książęce gniazdo.**

TREŚĆ. Słowacki (poezya), przez J. Vrchlickiego. — Wrażenia pedagoga w Galicyi,(dalszy ciąg)..— Marya Stäffe, (dalszy ciąg), przez M. Ilnicką.—Polka i Amerykanka, powieść, (dalszy ciąg), przez Sewera.— List z zagranicy, J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryzkie. — Korrespondencya zagraniczna, Wiedeń, (dokończenie).

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 12 Октября 1883 года.